

665 **B**OHATERKA komedii Arystofanesa — Lizystra, znana polskiej publiczności teatralnej jako Gromiwoja (występująca niekiedy również pod imieniem Bojomiry) postanowiła, jak wiadomo, walczyć o zaprzestanie wojen prawdziwie babską bronią. Pokój, zabicie Hellady, umyśliła ona osiągnąć przy pomocy strajku erotycznego wszystkich kobiet z wojujących państw. O tym, co wynikało z owej kobiecej rewolucji, o skutkach tego niezwykłego sprysiężenia opowiada Arystofanes w swej komedii, jednej z przeszło 40, jakie stworzył i jednej z 11 zachowanych do naszych czasów. Utwór najwybitniejszego przed stawiciela starogreckiej komedii, wywodzącej się z ludowych, często frywolnych, wyuzdanych i wulgarnych zabaw ku czci Dionizosa, nosi tytuł „Lizystra”. W dosłownym tłumaczeniu oznacza on „tę która rozwiązuje, rozpuszcza wojsko”, stąd więc nasza „Gromiwoja” jest jej najbardziej popularnym odpowiednikiem, chociaż od czasu do czasu wśród wielu inscenizacji tej sztuki pojawia się także Bojomira. Arystofanesowska komedia jest bowiem chętnie przez teatry wystawiana, stale obecna w repertuarze polskiej sceny.

Teraz sięgnął po nią Gdański Teatr „Wybrzeże”, który „Bojomirę” w reżyserii Ryszarda Ronczewskiego, ze scenografią Jadvigi Pożakowskiej i muzyką Andrzeja Głowińskiego prezentuje na

swej scenie kameralnej w Sopocie. Realizatorzy przedstawięcia nie mieli, jak sądzę, łatwego zadania, chociaż sama koncepcja sztuki, prosta, pomysłowo rozwijająca się intryga, komizm sytuacji, dośadność słowa, jedność języka dają na pozór materiał wdzięczny, gotowy „samograj”. Perypetie starożytnych pacyfistek, którym trudno wytrwać w powziętym zamiarze oraz niedola ich mężów skazanych na samotność, na powściągnięcie namiętnych zapołów — to przecież temat, który musi wywołać rezonans, czyli śmiech. Nie jest to jed

starej komedii, częścią konwencji.

Ta estetyka daleka jest od obowiązujących dzisiaj kanonów. Została jednak wpisana w dzieło, więc współczesny inscenizator za każdym razem rozstrzyga, w jaki sposób dochować wierności antykowi i Arystofanesowi, a jednocześnie trafić do odbiorcy, nie narażając się na pomówienie o prymitywizm, nieprzyzwoitość, tanie efekty „pod publiczkę”. Podobne zmartwienie mieli chyba i gdańscy artyści, którym udało się znaleźć rozwiązanie kompromisowe, przetrwać po

tensjonalnie lub wulgarnie, je go sens nie od razu do nas dociera, a i aktorom niełatwo się w tekście odnaleźć, nawiązać za jego pośrednictwem kontakt z widownią. Szczęśliwie dotyczy to niemal wyłącznie aktu I, któremu wyraźnie szkodzi rozwlekłość, osłabienie tempa. W drugiej części — wartkiej, cokolwiek może szokującej, gdy o twórczości autora i jego epoce niczego się nie wie, wrażenie to znika bezpowrotnie. Szybko też zapominamy, że jeszcze niedawno pod wpływem znużenia mieliśmy ochotę

stiumom nadała piękny kształt antycznej stylizacji. Wystrój sceny — z kolumnami, płaskorzeźbami, kawałkiem błękitu widniejącym w głębi i raz po raz przesłanianym drewnianą „ażurową” płaszczyzną, a także kostiumy, maski kolorystycznie stanowiące pewien nastrój, klimat. Nawiązanie do antyku da się także zauważyć w rytmicznych deklamacjach chóru, nacechowanych jednak dyskretnym, współczesnym dystansem. Do tego dochodzi muzyka niosąca niekiedy element niespodzianki — znakomitą przykła-

dem jest finał w rytmie Zorby! — i efektowna choreografia rozbijająca hieratyczną monotonię. Pantomimiczna scenka przy końcu I aktu — to rzecz naprawdę doskonała.

Plastyka i ruch wnoszą świeżość, zaskoczenie, stanowią w tym przypadku wartość nadrzędną. Liczny zespół wykonawców spisuje się bez zarzutu, ale duża ilość scen zbiorowych nie bardzo pozwala „błysnąć” jednostkom. Energiczną Bojomirę gra z werwą Elżbieta Goetel, a w otaczającym ją tłumie kobiet zwracając na siebie u-

wagę: Mirryna (Alina Lipnicka), Lampito (Maria Mielnikow-Krawczyk), Scytka (Teresa Kaczyńska) i Rodippe czyli Lucyna Legut, którą poznajemy mimo kryjącej twarz maski. W męskim gronie najwdzięczniejszą rolę ma Jerzy Łapiński, który jako groteskowy Kinesjas przyprawia nas o śmiech do łez, oraz Andrzej Nowiński (Probul) i Jan Sieradziński — poseł Sparty. Aktorzy, odrobina zażenowani, bawią się wyśmienicie, widownia — trochę zdumiona — nie gorzej. Cóż, dowcip „Bojomiry” cięższego jest kalibru...

Śmiech dionizyjski

Anna Jęsiak

nak takie oczywiste, bo przecież mamy do czynienia z dramatem antycznym. Komedie Arystofanesa, pisane w określonej sytuacji społeczno-politycznej posiadały walor aktualności, ustosunkowywały się do spraw i problemów, wyrażały stanowisko autora w ważnych podówczas kwestiach. Widz jemu współczesny odgadywał te intencje, a bawił się nie tylko aluzjami czy ironią. Bawił się szczególnie tym, co oglądał, ponieważ frywolność, sprośność, „nieskromność” (w naszym, rzecz jasna, rozumieniu), uwiadamiająca się także w stroju, kostiumie, były atrybutem

most między odległą epoką a teraźniejszością. Nie obyło się jednakże bez pewnych zgrzytów. Sopocka „Bojomira” opiera się na przekładzie Stefana Srebrnego, nieżyjącego już od ponad 20 lat wybitnego znawcy literatury antycznej, tłumacza wielu dramatów, w tym aż 8 sztuk Arystofanesa. Mamy zatem do czynienia z wersją bez wątplenia znakomitą, z którą niestety czas obszedł się dosyć surowo. Tekstowi — tak odbieramy to dzisiaj — brakuje jakby lekkości, je go język zdaje się pozbawiony giętkości, finezji. Słowo brzmi często sztucznie, pre-

westchnąć za chórem: „oje, o rety”, jak nudno...

Komedie Arystofanesa nie obroniłaby się dzisiaj nawet przy pomocy świetnego aktorstwa czy eksponowania pi kanterii erotycznych perypetii bohaterów. Ratuje ją bowiem tylko oryginalny pomysł inscenizacyjny. Parę takich kapitalnych rozwiązań zastosowano w Sopocie, dzięki czemu w ostatecznym rachunku, zapominamy o tym co złe, poddając się specyficznemu urokowi tej sztuki. Wiele zawdzięcza ona tym razem scenografii zaprojektowanej przez Jadvigę Pożakowską, która dekoracji i ko-



Bojomira (Elżbieta Goetel) i Probul (Andrzej Nowiński) Fot. E. Grabowska-Sadłowska